

PISMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Najcelniejsze filozoficzne nauki o duszy przed sądem krytycznym obecnej nam filozofii; skreślił Józef Kremer.

Warszawa 1867 roku.

Nie chcielibyśmy tytułem naszego artykułu przerazić czytelników i wzbudzić mniemanie, iż zamierzamy ich wodzić po labiryntach metafizycznych drogami ciemnymi a pełnymi zawad. Bynajmniej. Należy zbyt mocno, choć ze smutkiem, przekonani jesteśmy o wstręcie *ukształconego* ogółu, a zwłaszcza salonowego, do rzeczy przechodzących poza zakres powieści i humorystyki, czego dowodem że najlepsze nawet prace z innych zakresów, leżą nietknięte po księgarniach, nierozcięte po domach. Przy zdobyciu się na wyteżenie umysłowe zmordujemy jeszcze jaki dramat, urywek historyczny lub podróż; ale książka filozoficzna najczęściej i zazwyczaj w dziewiczym stanie umiera wśród katakumb księgarskich. Dobrze jej tak. Zapomniała o łacińskim przysłowiu: *nemo in patria propheta*; a nasz kraj jest ojczyzną urodzonych filozofów.

Był czas, lat temu z górą dwadzieścia, kiedy obudził się pewien ruch w kierunku do badań wyższych, kiedy zmarły *Przegląd naukowy*, źle czy dobrze, zapoznawał z filozofią niemiecką; kiedy pisma Trentowskiego zajmowały umysły żadne nowości. Wprawdzie było by wiele do powiedzenia o właściwości tego co się mieściło w tych teoriach, było tam zapewne więcej szumu niż treści; ale żadna krytyka silna i poważna nie ujęła w karby tego zbyt rozhukanego prądu, nie wzięła pod kontrolę objawów umysłowego natężenia; natomiast utworzyło się mnóstwo zaściankowych opponentów, którzy postanowili zdyskredytować kierunek taki, i wtedyto pokazało się, wielutro u nas jest urodzonych filozofów. Ludzie stojący na dwóch przeciwnych krańcach, jak Rzewuski i Wilkoński zżymali się na to, iżby ktoś u nas mógł poważnie się bawić w metafizykę. Nie zbili oni ani

jednego zdania, to nie było warte ich zachodu, starali się tylko zdania te zagłuszać wrzawą. Pierwszy krzyczał o powrót do katechizmu, drugi śmiał się na całe gardło z wyrazów i frazesów: obadwa prześladowali to o czém z nich żaden najmniejszego wyobrażenia nie miał. Za nimi prywatni i niepiśmienni stanęli chórem. Taki co nie widział okładki nawet od książki filozoficznej, krytykował najwymowniej wszystkie teorie, które żadną drogą nie mogły wcisnąć się do jego mózgu, filozofował przeciwko filozofii, jako nauce odwracającej od Boga, zbijał po swojemu myśli śmielsze, których nie rozumiał. Jedni z drugimi tak się z sobą doskonale zgadzali, tak się upewnili że im wrodzona filozofia wystarcza; tak głośno wyrażali tę zgodę, że w tej zgodnej wrzawie ucichł istotnie popęd do badań specjalnie filozoficznych: zrobiło się głucho, i powiedziano, że zdrowy instynkt społeczeństwa naszego odepchnął zdradliwe poszepty obcęg mądrości, i półgłosem wyjawiało się jakieś oczekiwanie na filozofię *królową*, która jednak dotychczas nie przyszła.

Te wszystkie lęki i wstręty nie rozwiązują kwestyi. Omijanie szkopułów i zawał nie równa drogi ani jęj nie ubezpiecznia; a kto nosi głowę wysoko, ten idąc nie może nie potraćić o taki szkopuł, co zaś potem nastąpi: upadek, czy rana, czy ból, niewiadomo. Wprawdzie ci których spojrzenia pod nogami, potrafią się uchronić od wszelkich potraćeń, dla tych trudzić się nad odgarnięciem szkopułów nie ma potrzeby, ale nuż też któremu zechce się spojrzeć w górę? Czyli, chcemy powiedzieć, że nawet bezbożność w filozofii jeszcze nie może i nie powinna odstręczać od niej, ale owszem pobudzać do lepszego poszukiwania Boga, aby go mieć nie tylko w sercu ale i w umyśle, i okazać na żądanie wątpiącym lub niewiernym. Bo cóżbyśmy poczęli z biedakami, którym zaświrszczy w uchu jakaś wątpliwość i przeniesie do serca niepokój, przeciw któremu dogmat nie wystarcza? Trudność ich żywcem zakopać w ziemię, albo odesłać do szpitala waryatów.

Otóż zastanawiać się nad temi rzeczami, badać je, szukać światła, a przynajmniej nie dać się ogarnąć ciemnościom dotyla, iżby zbrakło środków dla uspokojenia duszy w razie potrzeby; jest nawet rzeczą miłosierdzia chrześcijańskiego, nie mówiąc już, że dla honoru ludzkiego, dla samego dostojęństwa ducha, jest potrzebą pierwszego rzędu. Chwała tym, co pierwsi postavili kwestye metafizyczne: onito królewską koronę włożyli na skronie człowieka; usunięć z pola tych kwestyj jest abdykacya; oto, czego nie zrozumiały kukawki filozoficzne.

Dwa są tylko wyrazy, między którymi rozciąga się całe pole wiekowych wysień ducha ludzkiego, między którymi i pełen pociech spirytualizm, i krnąbny sceptycyzm i bezecny materyalizm, stawały z sobą do walki, wydzierając sobie prawdę, która ciągle im się z rąk usuwała: te dwa wyrazy, to Bóg i dusza. I dwa te wyrazy jak były dla umysłu ludzkiego zagadkami przed wieki, tak są zagadkami do dziś dnia. Jak przed wiekami utrzymywał, ale nie dowiódł, Plato, że Bóg jest istnością istności, czyli istnością taką, w której początek bierze wszelka rzeczywistość, wszelka zasada moralna, wszelki fakt intelektualny; tak i dziś mniej więcej to samo bez dowodu, powtarza

większość filozofów i ogół ludzi; jak przed wiekami Epikur bóstwu przyznał z najwyższej swój łaski jakieś istnienie martwoty bez celu, znaczenia i przymiotów, a byt wszechrzeczy zależnym uczynił od wiru cząstek niepodzielnych; tak i dziś szkoły fizyologiczne niemieckie, a mianowicie chorążowie materyalizmu: Moleszot i Büchner, za jedyną twórczość i nieśmiertelność uważają *atom*, dawcę życia i myśli, reszta zaś jest tylko, według nich, plodem imaginacji człowieka, dziecinną zabawką.

Dwa te zatem wyrazy są dziś zarówno nieobjaśnione jak były przedtém, i appellacya od katechizmu do powagi scyentyficznej ma bardzo male szanse.

W ostatnich mianowicie najbliższych nam czasach, po daremnych usiłowaniach wielkich systematotwórców, odłożono nieco na bok ogólne kwestye metafizyczne, zaprzestano poszukiwania najwyższej Istoty, a natomiast wzięto się do istot; kwestya mianowicie duszy, jako wstęp do dalszych badań, upowszechniła się bardzo, i słusznie, bo ta od tamtój jest nieodczepną, i w jakimkolwiek kierunku rozwiążemy jedną, w takim samym rozwiąże się i druga. Jeżeli na dnie naszej umysłowej retorty analiza ukaże nam duszę jednostkową i nieśmiertelną, to jednym skokiem przerzucimy się do Boga jednostkowego i nieśmiertelnego; jeśli przeciwnie w retorcie tej ukaże się nicosć, no to z pewnością niema nic i poza gwiazdami. O takiémto postępowaniu jakie nauka przyjęła obecnie, którego właśnie świadkami jesteśmy, rozповіда książka profesora Kremera.

Ileżto ksiąg, ile systematów postawiła metafizyka od Arystotelesa aż do Hegla! Chciawszy je uporządkować, ilużbyto trzeba użyć terminów szkolnych, jakieżby olbrzymie utworzyło się drzewo genealogiczne! Wszystkie systemata te, nad którymi ludzie przepracowali życie, świecili czas jakoś, gorączkowo przebiegały po mózgach, i zużyły się wreszcie jeden po drugim. I ów tak niedawno jeszcze sławiony Hegel, dziś we własnej nawet ojczyźnie staje się celem pośmiewiska, i mówią o nim (Büchner) przysłowiem arabskim: „słyszę, że młyn miele, ale maki nie widzę.” I Büchner i Schoppenhauer, dwaj krańcowi przeciwnicy, są o nim jednakiego zdania.

Znaczyłoby to konanie metafizyki, przyznanie się stanowcze do bezowocności na tej drodze usiłowań, podejmowanych w celu odkrycia pierwszej przyczyny i początku wszystkiego co jest? Nie spodziewamy się, chociaż są już dziś filozofowie, mianowicie tak zwani *pozytywiści*, którzy głoszą bezużyteczność metafizyki i odejmują jej wszelkie naukowe znaczenie. Jeżeli coś z metafizyki naprawdę skończyło się, to chyba system panteistyczny. Ten tak już długo włóczył się po świecie, tak nudził swemi usypiającemi argumentami, że zdaje się na wieki sam usnął wraz z Heglem, i niech mu ziemia będzie lekka. Znajdzie się może jeszcze jaki zacofaniec, który zechce galwanizować heglowskiego trupa, ale myślący ogół i trzech groszy nie da za takie widowisko. Wiemy aż nadto dobrze, jak trudno jest zdać sobie sprawę z istoty i działań pierwiastku twórczego, i wcale nie podlegamy tej dziecinnej illuzji, ażeby wszystkie trudności czarodziejskim

sposobem upadały przed dogmatem Boga osobistego, różnego od natury i świata. Ale przekonał się i o tém, że wcale nie mniejsze ciemności panują w panteistycznym pojmowaniu początku rzeczy, i że jedność substancji, uznawana za ostateczne rozstrzygnięcie tej kwestyi, bynajmniej nie rozjaśnia pojęć. Następuje owszem tak nierozwikłana gmatwanina różnic i tożsamości, że wolimy już mieć do czynienia z materjalizmem, który w prowadzeniu rzeczy jest przynajmniej szczerym i jasnym, tak, że od razu widzimy, z kim mamy do czynienia, i gdzie to prowadzi; kiedy przeciwnie panteizm, przybierając wszystkie pozory spirytualizmu, w rezultatach swych wychodzi równieź na najgrubszy materjalizm, jeśli się nie rozwodni w czczym mistycyzmie.

Społeczeństwo nasze, ogólnie mówiąc, od poczęcia życia historycznego, nigdy nie było naprawdę w ruchu filozoficznym. Błysnęło kilka nazwisk, i to w ostatnich zaledwie czasach, ale nazwiska te stały samotnie, bezwplywowo. Filozoficzne czy badania, czy mrzonki, nigdy żywo nie zainteresowały ogółu, nigdy nie stanęły pod surową kontrolą. Systemata filozoficzne za nami, jak za murem, wznosiły się, stały na porządku dziennym, upadały, a myśmy ani ducha ich, ani treści nie znali. Obojętność na wszelkie systemata, nie dopuszczając korzyści, zabezpieczała także od ich szkodliwości. Pojedynczy tylko ktoś zajął, podumał; jeśli zrozumiał, bawił się tém chwilę, a często nie wiedział co z tém zrobić.

Dziś zmieniły się nieco okoliczności. Instytucja wyższa obecną młodszemu pokoleniu ze stanem nauk filozoficznych, większe upowszechnienie się znajomości języków obcych ułatwia możność zapoznania się i z pojęciami filozoficznymi; tym sposobem tworzy się pewien kontyngens ludzi interesujących się kwestją metafizyki, i tu właśnie spotkać się mogą w umysłach wątpliwości, wahania, na jakie narażonym jest każdy, komu przedmiot z różnych stron i z różnym zamiarem jest okazywanym. Dziś tedy więcej niż kiedykolwiek wypada, aby każdy kto ma o tém jakieś wyrozumowane przekonanie, zabierał głos za tém co mu się wydaje prawdą, a z potępieniem fałszów.

Nie naszą rzeczą jest śledzić to, w jaki sposób rzeczy te przedstawia nasza instytucja naukowa. Wykład szkolny, to sprawa domowa między professorem i uczniem, i o tyle tylko może być dyskutowanym bez obrazy szacunku należnego domowemu ognisku, o ile byłby publicznym. Kierunek jednak, który piśmem objawili profesorowie Szkoły Głównej, od którego zapewne nie odstępają i w szkole, jest właśnie tym, za którym i my poważamy się obstawać. Ale z drugiej strony nasza literatura filozoficzna jest tak szczupłą i ubogą, że z niej w małej zaledwie części dowiedzieć się można o stanie społecznym tej umiejętności, to też przyczynek w tym mianowicie celu obecnie przez prof. Kremera napisany, z wdzięcznością przez ogół przyjętym być winien.

Professor Kremer pracę swą, bez widomego podziału dzieli jednakże jakoby na dwie części, raczój na dwa zamiary. Zakłada sobie

naprzód wykazać niedostateczność i niedokładność tych systematów filozoficznych, które kwestyę duszy usiłowały rozwiązać w kierunku spirytualistycznym (Dekart, Mallebranche, Leibnitz), to jest mniej więcej w kierunku wiary powszechnej, co byłoby dla ludzkości najpożądalszém; powtóre zbija wszystkie inne teorye, zaprzeczające istnienia duszy jednostkowej, realnej i nieśmiertelnej, starając się uzasadnić to właśnie, w co spirytualiści utrafić nie umieli przy najlepszych chęciach. Do pierwszego zamiaru, to jest do krytyki spirytualizmu, jako też do wyłożenia zasad i fałszywości panteizmu, posługuje się przeważnie nauką i doświadczeniem własnym, i nie dziw, bo któż może być nadeń bieglejším w ocenieniu historii filozofii; co zaś do samej teorii o duszy, w przeciwieństwie z teoryą materyalistów, wyrzeka się niejako samodzielnej odpowiedzialności, ale rozwija opinię Immanuela Fichtego (syna), sekundując mu wszelako własnymi zasobami, z całą gorliwością i naukowym zapalem. Tym sposobem p. Kremer, nie poprzestaje na samej roli kronikarza systemów psychologicznych, ale staje się ich umiejętnym i krytycznym przedstawicielem, jawnie przywdziewając barwę, która go ma odznaczać, a tą barwą jest nieco innego tylko spirytualizm.

Nie wspominając jeszcze o naukowej wartości książki, to wszakże z uradowaniem wyznać musimy, że wykład sam przedmiotu, z natury swój mozolnego i mało dostępnego, jest przedziwnie jasnym, dokładnym i pociągającym. Plan nakreślony doskonale, język czysty, bez żadnej szkolarskiej gwary, myśli wywijające się jak nici z kłębka, słowem wszystkie przymioty dobrego stylu, czynią tę książkę przystępną dla wszystkich głów, nawet dla takich, o które nigdy nie ocierał się żaden system filozoficzny.

Najwালniejszemi przeciwnikami sprawy, której podjął się bronić p. Kremer, są teorye panteistyczne i materyalistyczne. Panteizm wyznaje wprowadzie Boga, ale tym Bogiem jest wszystko, czyli, w obec tej teorii nic nie ma istnienia własnego, indywidualności własnej, ale wszystko jest tylko jakimś reflexem wszechbóstwa, a Bóg w człowieku dopiero, i to stanowisko myśli spekulacyjnej, przychodzi do samopoznania siebie. Materyalizm także wyznaje Boga, ale dlań bogiem jest wszechtwórcza materya, kombinująca się w rozliczności atomów; dla niego człowiek ilością tylko a nie jakością, stopniem w hierarchii zoologicznej, różni się od psa, a dusza to wyrób substancyj mózgowych; dla niego niema dusz, tylko *mózgi myślące*, jak gdyby kto kiedy widział myślący mózg. Otóż najcelniejszemi ustępami w książce p. Kremera są właśnie wystąpienia przeciw tym dwom teoryom. Panteizm, pomijając wszystkie poprzednie systemata, uosobistnia p. Kremer w jednym tylko Heglu, jako ostatnim i najpotężniejszym; daje szczegółową a treściwą i doskonałą jego charakterystykę, następnie wykazuje sprzeczności pomiędzy założeniem i rezultatami tak doskonale, że każdy umysł jasny zrozumie i zgodzi się na jego wywody. Z równą pomysłnością, po wyłożeniu zasad materyalizmu i zredukowaniu ich do kilku głównych punktów, wyjawia p. Kremer przy pomocy Pawła Janeta znakomitego dzisiejszego myśliciela Francyi, całą naukową nicosť tej po-

tworniej, a dziwnie zarozumiałej doktryny. Rzeczywiście dziwić się należy, że doktryna ta, która głównie opierając się na naukach przyrodzonych, nie dla nich nie zrobiła, której dotychczasowi koryfeusze, jak Büchner, są ignorantami w obec prawdziwie naukowych mężów; że taka, powiadam doktryna, szermująca więcej zręcznością niż pracą, może znajdować zwolenników. Prawda, że główna jej klientela powstaje w łonie niedoświadczonej młodzieży uniwersyteckiej, dającą się pociągnąć niezwykłością faktu, przyklaskującej nowości, i temu to chyba fenomenowi, imponującemu liczbą i fantazją, przypisać należy rozgłos i poparcie, jakie koryfeusze materjalizmu zjednać sobie potrafili; boć przecież tacy ludzie jak zmarły Joh. Müller, jak Virchow, jak Claude Bernard i inni przedstawiciele szkoły doświadczalnej, którzy jako sami bożkowie materji, nieliby największy tytuł do jej ubóstwienia, nigdy się przecie za materjalizmem nie oświadczała, a panując nad materją rozległą wiedzą, nie śmieli jednak przechodzić ztąd do konkluzji metafizycznych. Tymczasem uczeni w rodzaju Feuerbacha i Büchnera, wtajemniczeni nie wiedzieć jakim sposobem w wielkie laboratorium istot, bez żadnych wielkich tytułów naukowych w zakresie materji, bez żadnych znakomitych poszukiwań samodzielnych, obcemi i to nieraz źle zastosowanemi wspierając się doświadczeniami, śmiało konkludują naprzód w kwestjach początku świata i pierwszych przyczyn, które najpierwsze umysły świata zostawiły w zawieszeniu.

To też gruntowne wnikięcie w naukę dostatecznem jest, do przewalenia teoryj materjalistycznych, opartych na tak nędznych i spróchniałych już, od czasów Epikura, filarach (1); zwycięzko więc z tego starcia wychodzi p. Kremer, ale cóż dalej? Jeżeli spirytualizm, jak się pokazuje z jego dowodzeń, słabo i niezadowolniająco broni realności duszy; jeżeli panteizm i materjalizm są teoryjami w gruncie fałszywemi, nie mogącemi się ostać i wobec rozsądku i w obec umiejętniej logiki; gdzież tedy jest prawda?

Za całą odpowiedź p. Kremer przytacza teoryę Emanuela Fichtego, i nie poddając głównej jej myśli pod żadną krytykę, zdaje się na nią w zupełności polegać. Na to z nim nie możemy się zgodzić. A czegożby nam więc potrzebna nad to, co Fichte okazać pragnął! Byłoby to najściślejśm poparciem religijnych przekonań i wewnętrznych poczuć powszechności ludzkiej. Dusza osobista i nieśmiertelna, wykazana jak na dłoni! Toż to byłby najświetniejszy tryumf nauki, ale Fichte nie zdobył sobie jeszcze wieńca tego tryumfu. Kierunek jaki przybrał Fichte, o ile jest zacnym moralnie, o tyle, nie przeczę, może być i naukowo płodnym; ale rezultaty jakie przedstawił dotąd, dalekiemi są jeszcze od zadowolenia wymagań umysłu. Hypoteza jego zawiera się w tém, że dusza, jako istność realna, tworzy sobie organizm dla siebie bezwiednie, a w miarę postępu w tworzeniu go i w miarę jego doskonalenia się, przychodzi do świadomości

(1) Na ten kierunek pierwsi zwróciliśmy uwagę w rozprawie o Epikurizmie zamieszczonej w *Bibliotece Warszawskiej* z r. 1861, t. III.

i to w pewnej tylko części. Bardzo dobrze; ale prosimy o dowody. Fichte stara się dowodzić, a p. Kremer, idąc za nim, dowodzenia pomija nawet, przechylając się z góry, i jakby na wiarę, do hipotezy.

Postaramy się uzupełnić tę lukę w pracy p. Kremera, przedstawiając szczegółowić argumenta Fichtego i myśl jego główną, dla przekonania się czy ją możemy uważać za wyczerpującą tę kwestyę do ostatka.

Emmanuel Fichte (ur. 1797 r.) zwrócił od razu usiłowania swoje do tych opinii, dotąd niezwalczonych, które znane są w Niemczech pod nazwą *teizmu spekulacyjnego*. Jeszcze w r. 1834 napisał on książkę, którą po polsku zatytułowaliby można: „Pojęcia o osobistości i nieprzerwalności indywidualnej,” i w niejto nasamprzód wyłożył swój sposób zapatrywania się na kwestyę dotyczące duszy i Boga, śmiało i nie bez pewnej potęgi przekonywającą obstarając, w obec szerszego się hegelianizmu, za osobistością bożą. Ludzką, oraz za nieśmiertelnością indywidualną. Czuć tam co krok okrutny wstręt jakim go przejmuje ten ocean nieskończoności, w którym panteizm heglowski zanurza kolejno wszystkie istności doczesne (fenomena), powstające z jego wiekuistego ruchu w przestrzeni i czasie. Podług zdania Fichtego, Bóg jest nieskończonym i ograniczonym: nieskończonym jest o tyle, o ile przytomnieje istotnie we wszystkich rzeczach; ograniczonym zaś jest i różnym od świata przez to samopoznanie jakie napotyka w przeciwstawieniu ze światem, który stworzył. Indywidualność nieśmiertelną Fichte uzasadnia przedewszystkiem na tej uwadze, że dusza, według niego rodzicielka ciała i jako taka tworząca organizm ograniczony, określony w sobie i uwarunkowany, musi być sama w sobie z konieczności siłą indywidualną. Ucieleśniając się w formie, która ją nam wyobraża, dusza objawia właśnie tę czynność indywidualną i indywidualizującą, która jest jej własnością, a raczej która jest duszą samą w sobie niezatracałnej istocie. W porządku zjawisk dusza objawia się właśnie przez organizm, który stwarza ona i utrzymuje, który porusza i przenika w każdej chwili i w każdej cząstce. Jak ciało, wyrób duszy, nie dodaje do jej przymiotów istotnych, tak i rozkład tego ciała nie może nie ująć z jej zasadniczej istoty.

Tęj zasady nie wyparł się Fichte i w wielkim swém dziele, które chwale jego stanowi i na którym głównie opiera się p. Kremer, a obmyślane ono było dojrzałe i gruntownie, bo wyszło dopiero w r. 1856, p. t.: „Antropologia, czyli teoria duszy ludzkiej uzasadniona na drodze naukowej.”

Podług tej Antropologii, dusza w ogóle każda jest istnością rzeczywistą i absolutnie indywidualną. Każde ciało organiczne i określone w sobie ma duszę własną; każda naodwrot dusza tworzy sobie ciało organiczne, i najwyłącznie właściwościom jej odpowiadające; ciało zatem jest to dusza zwrócona na zewnątrz, dusza objawiająca się w przestrzeni i czasie. Dusza ludzka, wspólnie ze swym organizmem cielesnym i za pośrednictwem tego właśnie organizmu przez się stworzonego, przebiega stopnie rozwoju, który czyni z niej istotę jednoczącą w sobie stany nieprzemienne w części świadome siebie

(funkcye umysłowe i moralne), w części nieświadome (funkcye fizyczno-chemiczne). Ale byłaby ona niezdolną do tego rozwoju w kierunku samowiedzy, gdyby była w sobie istotą bezwzględnie pojedynczą, gdyby odrazu nie była *jednością* (monadyczną) w *wielości*, i gdyby, mianowicie jako dusza ludzka, nie była monadą duchową, to jest zdolną dojścia do wiedzy o swęj jedności.

Najważniejszym tu punktem, że dusza nie jest absolutnie jedną ale jedną i zarazem mnogą; jako typ zupełny i żyjący pierwowzór organizmu, dusza powinna być, jak on, i mnogą i pojedynczą razem, prostą i złożoną jak on. System więc ten, równie jak i system filozofa Karusa społecznego Fichtemu, tём się różni od zwyczajnego spirytualizmu (Kartezyańskiego), że w duszy nie upatrują absolutnej jedności i że podług nich dusza przybiera własności wielorakie dopiero w związku swém z wielością pierwiastków w skład ciała wchodzących.

Najpierwszą rzeczą, podług słów Fichtego, jest określenie stosunku duszy do przestrzeni i czasu. Zapatrywać się na duszę jako na coś zupełnie obcego czasowi i przestrzeni, stawiać ją jako nie istniejącą w żadném miejscu ani w żadnej chwili, wydaje się być rzeczą tak przeciwną naturze i doświadczeniu, że hypotezę taką z góry odrzucić należy jako niedokładną albo przynajmniej wymagającą przekształcenia. Z drugiej znów strony, wydaje się również sprzeczném lokalizować duszę w jakiegokolwiek części ciała, czy też gdzieś obok niego, albo, jak i tego bywały przykłady, przypuszczać że ona później łączy się z zarodkiem (embryon) w trakcie formowania się. Zmuszeni też jesteśmy, z tegoż samego tytułu, zaprzeczyć istnieniu duszy pojmowanej jako forma cielesnie objawiona w przestrzeni i czasie, jak również istnieniu duszy pozbawionej wszelkich przymiotów przestrzeni i czasu. Oczywiście więc dusza, podług Fichtego jest i niematerialną i zarazem rozciągłą, koniecznie rozciągłą.

W ciele, mówi dalej Fichte, w tём zjawisku złożoném z substancji różnorodnych i z sił wielorakich, należy oczywiście rozróżniać dwie rzeczy, a nasamprzód pierwiastki materialne, tworzące jego zewnętrzny objaw. Te ostatnie, jak nas naucza chemia analityczna, sprowadzić można do pierwiastków prostych, które zarówno znajdujemy we wszystkich innych ciałach organicznych lub nieorganicznych. Te zatem są wspólne ciału ludzkiemu i innym istotom ziemskim; tylko że w ciele ludzkim, jako i w innych ciałach organicznych wyższego rzędu, są one połączone w kombinacjach szczególnych, potrójnych i poczwórnych, za czém nie idzie jednak, aby same te pierwiastki znajdowały się w stosunkach ściślejszych z ciałem organiczném i należały doń wyłącznie niż do innego utworu cielesnego, wziętego w całości natury. Względnie więc do duszy, czy to weźmiemy ten wyraz w ściślejszém, czy obszerniejszém znaczeniu, są one rzeczą najzupełniej obcą i czysto zewnętrzną. Ow tlen, ów azot i kwas węglowy, owe zasady i kruszce, których obecność udowodnioną jest w ciele, ani nie tłumaczą jednoczesnego istnienia w niem duszy, ani też przez nie wytłumaczyć nie można uzdolnienia duszy do umysłowych objawów; tak, że próby podobnego wytłumaczenia (materialistyczne)

sprawiedliwie uważać można za jedną z największych niedorzeczności, na jakie zdobyć się mogą usiłowania daremne i czcze. Te, co większa, pierwiastki chemiczne, nieustannie się zmieniają; wchodzą w zakres asymilacji ciał i znów zeń wychodzą. Po pewnym okresie oznaczonym, to ciało *zewnętrne*, ten wytwór ich połączenia, tak się całkowicie odnawia, że znika najmniejsza nawet cząsteczka dawnego ciała, i powstaje ciało nowe. To ciało jednak, przez cały przeciąg naszego istnienia, tak w typie zewnętrznym, jako i w zasadniczym charakterze wewnętrznej budowy organicznej, pozostaje całkowicie tém samém czém było, bez względu na peryodyczne przemiany i odnowy pierwiastków. Nie w materyalnych to zatem pierwiastkach znaleźć można tę rzeczywistość trwałość, tę *jednoczącą i utrzymującą substancję* ciała, która okazuje się czynną przez ciąg całego naszego życia. Tem mniej przypisaćby ją można prostej kombinacji „mieszania” tych pierwiastków; boć byłby to już niesłychany fałsz logiczny, gdyby ktoś utrzymywał że z prostej kombinacji rzeczy pewnych wyniknie rzecz *nowa*, która w żadnej osobnej kombinacji nie istnieje *sama przez się*.

Poparcie co do tego znajduje Fichte we wszystkich fizyologach, mianowicie w Cuvierze i we Flourensie, inne też jeszcze dowody, mianowicie co do tego, że dusza nie mieści się w jednym organie, np. w mózgu, ale w całym organizmie, nastręczają mu Wolkman i J. Müller.

Flourens, którego badania stwierdzać się zdają odnowę cielesną (co lat siedm), cytuje w jedném z ostatnich dzieł „*Życie i umysł*” ustęp wyjęty z Buffona: „Najstalszą i najniezmienniejszą rzeczą w naturze jest to co określa. forma (le moule, l’empreinte), tak co do zwierząt, jako i co do roślin; najzmienniejszą i najbardziej uległą zepsuciu jest substancja, która je tworzy.”

— Cuvier, dodaje Flourens, upodobał snadź sobie w rozwinięciu tej pięknej myśli, powiada bowiem: „W ciałach żyjących żaden atom nie pozostaje na miejscu; wszystkie wchodzą i wychodzą kolejno: życie jest ciągłym wirem, którego wszakże kierunek, jakkolwiek powikłany, pozostaje stałym, równie jak i gatunek atomów doń przywiązanych, ale nie same te atomy indywidualne; przeciwnie *obecna materyja* żywego ciała wkrótce zniknie, a ona to jednak jest siedzibą (dépositaire) *sily*, która zmusi *materyę przyszlą* aby szła w tym samym kierunku jak ona. Owoż forma tych ciał jest istotniejszą dla nich niż materyja, bo ta ustawicznie się zmienia, kiedy tamta stoi jak mur.” (Cuvier; Rapport historique sur les progrès des sciences naturelles, str. 200).

Opierając się na tych odkryciach nowoczesnej fizyologii, wnioskuję Fichte: „Jesteśmy tym sposobem zmuszeni uznać drugą przyczynę ciała (wyżej była mowa o pierwiastkach materyalnych), zupełnie różną. To co w niem trwa i łączy nie może się znaleźć w dziełzinie jego pierwiastków, w ogóle nie może być niczém materyalnym. Jest ono bezwarunkowo wyższém względnie do pierwiastków materyalnych, o ile zmusza je, „przez asymilowanie ich sobie” do stopienia

swój różnorodności w harmonię cielesnego objawu, i o ile utrzymuje tę jedność przez całe życie. To też ono inaczej nie może być pojmowaniem, tylko jako „siła,” ale jako siła przyczepiona bez żadnej wątpliwości do *podstawy realnej*, bez której „siła” rozpierzchłaby się w niepodobieństwie idealnym. Tylko że i ta podstawa nie może być substancją materyalną, pierwiastkiem prostym, inaczej znówubyśmy weszli w znane a zakłęte koło sprzeczności.”

Zastanówmy się nad tém, cośmy tu wyłożyli i powiedzmy, czy sam Fichte nie obraca się w tém kole?

Chcąc koniecznie duszę wydostać z pod materyi, a zarazem pozostawić jej przymioty materyalne, to jest przestrzeń i granicę, koniecznie też musiał nadybać jakieś pojęcie mieszane pomiędzy spirytualizmem i materyalizmem. Pojęcie to, w którym streszcza się cały system Fichtego, określa on doskonale w jego naturze dwoistęj, nadając mu nazwę *wewnętrznego ciała* (innerer Leib). Doprowadza on nas tedy do wyobrażenia sobie jakiejś idealności, ale substancjalnej i czynnej, która względem organizmu znanego nam, organizmu jedno i wielorakiego, jest tém, czém poprzednik względem następnika; tém, czém jest pierwiastek utajony względem rezultatu jakim on objawia się przechodowo na scenie naszego świata, niby siła leżąca na podstawie ziarna względem rośliny. Nie pójdziemy za nim już dalej w wywodach, jakie, zdaje mu się, że ma prawo czynić drogą analogii pod względem bytów duszy poprzednich i następnych, pod względem stanów przeszłych i przyszłych tego „wewnętrznego ciała” obdarzonego siłą organizacyjną i przechodzącego rozmaite kolejne fazy rozwoju. Są to już mrzonki albo utopie, z którymi nauka nie ma nic do czynienia, gdzie ona ani twierdzić ani przeczyć nie może, bo oprzec nie ma się na czém. Zakończymy ostatnią cytata, która streszcza w kilku słowach cały pogląd na tę sprawę niemieckiego filozofa: „Dusza jest istotnością indywidualną i wiekującą, substancją skończoną. Ciało jej jest jej wyrazem realnym, samowiedza jej jest jej wyrazem idealnym, który ona czuje sama przez się i który świadczy o tej indywidualności jaką ona posiada.”

Otóż jest zasadnicza, dogmatyczna myśl dzieła Fichtego. Postawił on twierdzenie, że dusza jest twórczynią organizmu, że jest osobistą i nieprzemijającą pomimo zatrąty organizmu; ale tak dobrze nie dowiódł tego twierdzenia jak i spirytualiści, pomimo że chodzi kolo tego przez kilkaset stronnice. Dał wprawdzie do myślenia nie tak jeszcze tém twierdzeniem samém, jak raczej tém że udowodnił mylność wszelkich pokuszeń wyprowadzenia duszy z organizmu, z materyi, jak chcą mieć dzisiejsi biolodzy. Pod tym względem, to jest pod względem przekonania się o kruchości zasad materialistycznych, antropologia Fichtego jest nieocenioną; wdzięczni też jesteśmy p. Kremerowi, że na nią zwrócił uwagę, i że z niej w podobny sposób skorzystał; jak również dziwimy się, że mógł na jej konkluzjach poprzestać, tak jak gdyby już nic innego nie było do zrobienia, i jak gdyby Fichte wyrzekł w tej materyi ostatnie słowo.

Jeżeli p. Kremer zamierzał ocenić, jak tytuł zapowiada, *celniejszą naukę o duszy*, a w liczbie tych celniejszych zamieścić i słuszną

Fichtego, to pozwolimy sobie powiedzieć, że równie celnym, choć z innego obozu, wydaje się nam Lotze, który i jako fizyolog (autor Patologii i Terapii) i jako filozof, bardzo zajmował się tym przedmiotem, i którego Fichte koniecznie chciał sobie przejednać, ale mu się to nie udało (1). Nie idzie za tem, aby i ten coś stanowczego odkrył i uzasadnił na rzecz psychologii, owszem chwiejny to ostrożny i połowiczny dyalektyk; ale ucieszyłby nas mógł bodaj tém, że jako naturalista i zawzięcie gardlujący za sprawą materji, przecież kiedy ośmielił się konkludować coś na rzecz duszy, wyznał i szeroko się rozpiął, mianowicie w swoim „Mikrokosmie” że do rozwiązania téj

(1) Nie wiem, czy p. Kremerowi znane jest pismo Em. Fichtego, które wydał w r. 1859 w Lipsku, p. n. *Zur Seelenfrage*. W tém piśmie streszcza on to tylko co opiewał w antropologii, ale ciekawém ono właśnie jest z powodu usiłowań, jakie w niém podejmuje, aby przyciągnąć do siebie Lotzego. Miodowém piórem wskazuje podobieństwa i różnice ich zapatrywań; ale te różnice według niego są tak mało znaczne. — „Patrz co nas rozdziela. Drobnostka! Jeszcze krok a zjednoczymy się dla pobicia potworu, to jest materyalizmu.” Ale p. Lotze snadź ma twarde ucho, bo dotąd nie słyhać iżby go wzruszyła wymowa Fichtego. W istocie téż różnice, jakie ich dzieli, nie są wcale drobnostką. Pierwsza, że Fichte patrząc na duszę jako na pierwiastek organizujący, od ciała niezależny, gdyż on je wytwarza, przyznaje wszelako duszy rozciągłość, a Lotze wręcz jój tego przymiotu odmawia. Druga, że Fichte uznając czynność duszy we wszystkich funkcjach organicznych, oświadcza, że ta czynność jój jest i świadomą i nieświadomą; gdy tymczasem Lotze świadomości nie odłącza od duszy w żadnym razie, a tém samém we wszystkich objawach fizjologicznych, w których umysł nie jest zajętem, widzi nie innego tylko mechanizm sił. Słowem Lotze oddziela psychologią od fizjologii. W objawach fizjologicznych uznaje on tylko wielorakie działanie sił tkwiących w pierwiastkach materyalnych, wyłączając z tego działania tak dobrze witalizm jako i animizm: z téj strony więc jest materyalista. Ale w objawach psychologii właściwój, w tych które dokonywają się przy świetle samowiedzy i opisują się w jój granicach, ukazuje się on spirytualista, w najściślejszém i najrozleglejszém znaczeniu. Tym sposobem utworzony pewien rodzaj dualizmu jest zapewne słabą stroną teoryi Lotzego, to téż na nią głównie uderza Fichte. Ale téż z drugiej strony i on ze swoją duszą mającą rozciągłość a nie materyalną, w żaden sposób nie wytrzymuje krytyki. Wreszcie zdaniem naszym chodzi téż tu o określenie tego wyrazu: *materya*, który dotąd bynajmniej zadowalniająco określonym nie jest. Leibnitz i Herbart otworzyli drogę, którą poszli niektórzy fizycy a w szczególności zmarły niedawno Faraday. Dwaj ci filozofowie w świecie widzą tylko siły, pierwiastki czynne; w materji zaś, która oznacza całość fenomenów przedstawiających się w przestrzeni i czasie, upatrują nie pierwiastek żaden, nie zasadę, ale rezultat, niby wrażenie jakie na zmysłach naszych wywiera zetknięcie się tych sił niematerialnych. Dotąd mało zastanawiano się nad tą hipotezą, a nie jest ona może bez znaczenia.

kwestyi sama materya nie wystarcza. A ogłębny to człowiek, a mistrz w skalpeli i mikroskopie, ale że sumienny i uczciwy, wolał kwestyę zostawić nierozwiązaną, niż puścić się w absurda. Radbym aby posłuchali co mówi taki Lotze lub Claude Bernard, ci, co to zaledwie licząc fizyologi lub chemii i posłyszawszy coś zdaleka o wielkich odkryciach materyalistów, już buńczucznie a uraglowie spoglądają na tych, którym jeszcze tak dalece nie imponują prawa fizyczne, chemiczne i dynamiczne, aby się mieli wyrzec tradycyjnej choć ciemnej wiary w Boga i duszę nieśmiertelną. Ej, to tylko wietrzna ospa, zwyczajnie jak u dzieci; przeminie i będą zdrowe: po dziełach Jane-ta i Caro powinnyby przyjść do pewnego opamiętania.

Oprócz Fichtego i Lotzego, w tym obozie psychologów poszukujących jakiegoś zlania spirytualizmu z materyalizmem, jest jeszcze kilka wydatniejszych chorągwi i buńczuków; ale nie naszą jest rzeczą wyzywać ich przed front; zamilczał o nich p. Kremer pisząc książkę, tém mniej nam wypada nosić się z każdym szczegółem w artykule. To pewna, że jak przed Arystotelesem, tak i po Fich-tem, pod względem określenia natury duszy i związku jój z ciałem, toż samo jest do zrobienia co i było, to jest wszystko. Jedna rzecz tylko jawnie widomą się stała, to jest że ani teorye panteistyczne, ani atomistyczne, ani materyalistyczne kwestyi tej nie rozwiążą; i że szkoda na to czas tracić: jak na dwadzieścia dwa wieki pracy to i tak dosyć. Cóż ją zatem rozwiąże? Ja nie wiem, ale posłuchajmy co o tém mówi jeden z nowej szkoły niemieckiej, psycholog i naturalista Rudolf Wagner, professor fizyologi w Getyndze, i którego zapatrywanie się zasługuje na przytoczenie. P. Wagner przybrał względem różnych stronnictw postawę wyczekującą, niedowierza on jednemu i drugiemu, a w broszurze „Walka z powodu duszy” dowodzi i niemożności przechylenia się do jakiegobądź twierdzeń w dzisiejszym stanie nauki, i niekompetencyi fizyologii, filozofii lub teologii do rozwiązania pojedynczo kwestyi, która podług niego wymaga ich łącznego współdziałania; P. Wagner ma zapewne coś za czém się więcej przechyla, ale ponieważ w gruncie nie twierdzi on nic, ograniczymy się przeto na przytoczeniu wątpliwości zamieszczonych w końcu broszury.

— „Wszystkie uśiłowania—powiada on—podejmowane aż dotąd dla zbadania i wytłumaczenia bliziej natury duszy, czy to przez nauki przyrodzone, czy przez filozofią lub teologią, uważać należy za niedostateczne. Jednakże postępy dokonane ostatnimi czasy, pod względem warunków anatomicznych i fizyologicznych dotyczących fenomenów duszy dają kilka punktów wyjścia do nowych poszukiwań. Przypuszczenie duszy specjalnej, realnej, substancyjnej, jeśli zapatrywać się na nie będziemy ze stanowiska nauk przyrodzonych, jest hipotezą, dogmatem, ale takim przeciw któremu nie można postawić *nie poważnego* ze strony naukowych motywów. Przypuszczenie *niebytu* duszy, w znaczeniu materyalistycznem jest także hipotezą, dogmatem, przeciw któremu, również ze stanowiska nauk przyrodzonych, można przeciwnie postawić zarzuty *bardzo poważne*, dlatego

mianowicie że objawy fenomenów psychicznych (fenomena samowiedzy jasne lub ciemne) nie dadzą się wywieść z sił fizycznych i chemicznych, jakie są nam znane. Wyrażenie: *niematerialność* duszy jest pojęciem scholastycznym, którego prawność lub nieprawność zależy od rozwoju i określenia pojęcia *materji* i innych pojęć wyższych wiążących się z niem bezpośrednio. Nauki przyrodzone są bezwarunkowo niezdolne okazać jakiegobądź dowodów *za* lub *przeciw* nieśmiertelności duszy substancjalnej. Pod tym względem zostawiają one wierze albo innej nauce zdolnej ogarnąć ten przedmiot, zupełną wolność i zupełne usprawiedliwienie. Żadna z tych nauk, ani *fizjologia*, ani *filozofia*, ani *teologia*, nie jest zdolną sama przez się, pojedynczo, ogarnąć téj kwestji ze wszystkich stron i stanowczo jęj rozwiązać; trzeba oczekiwać spokojnie i przypatrywać się ażali usiłowania przenikliwości ludzkiej dojdą do postawienia tej kwestji tak, aby ztąd wynikało zapatrywanie się i przekonanie wartości mniej więcej powszechniej, to jest podzielane przez przeważną część ludzi uzdolnionych do zdrowego sądu."

Mamy tu więc opinię wcale bezinteresowną: fizyolog twierdzi, że fizjologia sama przez się kwestji duszy nie rozwiąże, ale może znakomicie przyczynić się do jęj rozwiązania, jeśli to rozwiązanie jest możliwe. Opinię tę, głośno czy cicho, podzielają wszystkie znakomitości fizjologiczne, tak jak to już nadmieniliśmy wyżej, a mierzności tylko nadrabiające zuchwalstwem więcej niż nauką, czupurzą się i wyjeżdżają na harc z konkluzjami na niczém nieuzasadnionemi.

Metafizyka, to pewna, w badaniach o duszy mnóstwo popełniła błędów, i do niczego nie doszła. a głównie przez to, że patrzyła na człowieka z jednej tylko strony, i nigdy nie przyszło jęj na myśl obejrzeć go wszechstronnie, a jeżeli odważyła się na ten krok, to czyniła to niedołąźnie (jak Dekart), dla braku należytego przygotowania. Kiedy więc metafizyka martwiła na tém polu, nauki przyrodzone tymczasem dokazały cudów, śledząc człowieka pod względem zoologicznym. Nietrafne postępowanie nie odsądza jęj jednak wcale od prawa poszukiwań drogami sobie właściwemi, w czém nauki przyrodzone wałną nawet wyświadczyć jęj mogą przysługę. Jeżeli metafizyka skorzysta z odkryć poczynionych w dziedzinie nauk przyrodzonych, jeżeli przygarbie do siebie cały postęp, jeżeli jałowa dotąd psychologia stanie się antropologią, a każdy psycholog będzie wprzód fizyologiem, to jużćić prędzej spodziewać się można nie dać ogarnąć złudzeniom.

Najutalentowańsi i najbglejsi mężowie szkoły doświadczalnej, jak Claude Bernard (*Introduction à la Médecine expérimentale*, str. 59, 61, 266 i nast.), przyznają, że cały ten mechanizm doświadczeń na polu nauk ścisłych, cała ważność rezultatów obserwacyi, zależy od wrodzonej i jakoby tajemniczej, niczém nie wytłumaczonej dzielności umysłu. Myśl nowa objawia się niespodziewanie, jak błyskawica;

jest to istne objawienie, które ukazuje nam nowy a niespodziewany związek między rzeczami i tłumaczy fakta. Nie fakt nowy stanowi rzeczywiste odkrycie, ale idea do tego faktu przywiązana. Fakta nie są ani wielkie, ani małe, same przez się. Wielkość jest tylko w idei, nie gdzieindziej. „Mamy, powiada wyraźnie Claude Bernard, w umyśle intuicyą, uczucie praw natury, formy tylko ich nie znamy; formy tej dopiero uczy doświadczenie.” Wszystko więc co nazywamy *pierwotnego uczucia prawdy*, (jak uczucie czy przecucie duszy indywidualnej i nieśmiertelnej), które długo hodowane w milczeniu, raptem, lotem błyskawicy, prowadzi do pojęć płodnych. Umysł więc tylko zdolnym jest, przez jakieś natchnienia szczęśliwe, wydobyć tajemnice drzemiące w łonie natury, wytłumaczyć uprzednio, przed doświadczeniem, te wielkie prawa jakie ona zakrywa przed nami w tłumie powikłanych fenomenów. On w sobie nosi przecucie tej wielkiej prawdy obiektywnej, która jest ideą świata. Jest to niezaprzeczenie znakomity fakt, mocą którego szkoła doświadczalna tak wyraźnie oświadcza się za tem, że w nas leży intuicya stosunków łączących między sobą żywioły różnorodnej i ruchliwej rzeczywistości. Bez wątpienia wkłada ona na nas obowiązek ostrożności nadzwyczajnych, licznych sprawdzań; stawia ogromny przybór rozumnej kontroli, aby nas zabezpieczyć od złudzeń tej idei *a priori*, i przy świetle faktów rozproszy mrzonki, któreby się zakradły do pomysłów prawdziwych. Potrzeba nam wielkiej pracy, długich studyów nad realnością, nim wolno nam będzie zaufać pomysłom apriorycznym. Nie będziemy mogli uczynić tego aż wtedy, gdy intuicyę tę, gdy to nieokreślone poczucie rzeczy, przeistoczymy na wykład *a posteriori*, oparty na doświadczalnym badaniu faktów, i z tego dopiero rozumnego zespolenia wyjść może teoria czyli prawdziwa nauka.

Taki też, jeśli się nie mylimy, kierunek stanowczo w ostatnich czasach przybiera psychologia, i to rzeczywiście w znacznej części za popędem danym przez Emmanuela Fichtego, który jeśli sam ostatecznie rzeczy nie rozwiązał, ale tę ma przynajmniej niezaprzeczoną zasługę, że ją na odpowiednie skierował stanowisko; i dla tego nie dziwimy się bynajmniej p. Kremerowi, że mu poważne miejsce w rocznikach psychologii przeznacza.

Dnia 10 kwietnia 1868 r.

Kazimierz Kaszewski.

Kwiaty i chwasty przez Adolfa Mostowskiego. Żytomierz. 1866 r.

Dwa węzły przez Adolfa Mostowskiego. Żytomierz. 1867 r.

He razy zjawi się książeczka z poezyami, tyle razy przypomina się młodość, ów pączek rozwijającego się kwiatka, który je-